

Stanisław Korba

P - 85051

ZE WSPOMNIEN O KOMANDO GABLONZ

Z więzienia w Kielcach, gdzie byłem przesłuchiwany i torturowany, więziony w Częstochowie, Lublińcu i Wrocławiu dowieziono mnie do obozu Gross-Rosen. Tu od 3 listopada 1944 roku zostałem więźniem Nr 85051.

Po paru dniach z bloku 19 przeniesiono nas do bloku Nr 8, na którym otrzymaliśmy pasiaki. Dowiedziałem się, że będziemy wywiezieni z Gross-Rosen do filii obozu, ale nie mówiono gdzie. Tę wiadomością ucieszyłem się, ponieważ bałem się bardzo, by nie skierowano mnie do pracy w kamieniołomach. W czasie pobytu w obozie wykonywałem różne prace porządkowe na terenie obozu, w związku z tym miałem możliwość zaobserwowania jak na każdym kroku ginęli więźniowie.

Pewnego dnia pracując w poblizu rewiru byłem świadkiem wywożenia zmarłych więźniów do krematorium. Jeden z niesionych na noszach jeszcze się poruszał i wołał "gdzie mnie niesiecie?" Ja chcę żyć a jednak z każdym krokiem idących był bliżej krematorium.

W połowie listopada wywożano mój numer obozowy i numery moich kolegów oraz innych więźniów, uformowano przy drodze głównej grupę około 500 do 600 więźniów, wydano dla każdego po kawałku chleba, wyprowadzono nas z obozu i pomaszerowaliśmy na stację kolejową, gdzie wsiadliśmy do podstawionych wagonów towarowych. W wagonie, którym jechałem pilnowali nas dwaj w starszym wieku esesmani. Traktowali nas dość względnie, nawet nie zjedzone przez nich odkrojone skórki chleba dali więźniom. Z Gross-Rosen do Gablonz jechaliśmy dwa dni, po drodze mieliśmy dłuższe postoje na bocznicach kolejowych.

Do Gablonz przyjechaliśmy wieczorem. Unieszczone nas na strychu w dość wysokiej wieżbie dachowej budynku, w którym na dole mieściła się stołówka dla pracowników fabryki i magazyny. Budynek ten był usytuowany na terenie o dość zróżnicowanej konfiguracji, od południa poziom terenu był wyższy, a od północy niższy. Do naszego bloku - pomieszczenia wchodziło się od strony zachodniej po stronną drogę i schodach. Po prawej stronie korytarza mieściły się pokoje dla esesmanów i magazyn gospodarczy, a zanim było ustawionych kilka piętrowych łóżek dla chorych tzw. rewir. Po lewej stronie była kuchnia, a za kuchnią umywalnia, a za kuchnię z tyłu ubikacja, w których mieszkali kucharze i blokowi, następnie zbito z desek długie stoły i ławki, przy których więźniowie spożywali posiłki i odpoczywali w godzinach wolnych od pracy. 3/4 pomieszczenia strychu zajmowały dwupiętrowe łóżka. Przed udaniem się do snu należało na stołach złożyć ubranie-pasiak ułożony w kostkę z widocznym numerem więźnia na wierzchu, a trepy /trzewiki sznurowane na drewnianych spodach/ stawiało się na podłodze.

Po przyjeździe i wejściu do bloku wydano nam kolację. Byłem głodny, więc zjadłem wszystko; przypomniałem sobie w czasie jedzenia słowa przestrogi więźnia z Gross-Rosen: "jeśli chcesz żyć i przeżyć to musisz jak najszybciej dostosować się do istniejących warunków w obozie, mieć oczy naszedzie otwarte, nie pchać się do przodu i nie pozostawać w tyle, zjadać wszystko co otrzy-

masz, bo w żołądku jest pewne, natomiast skradzionego nie będziesz oglądał bo ci ukradną. Słowa te utkwiły mi w pamięci i często w różnych sytuacjach mając je na uwadze uchroniłem się od przykrych niespodzianek.

Na drugi dzień pracując w fabryce dwóch moich kolegów zwierzyło mi się, że w złożonych ubraniach w kostkę schowali sobie po kawałku chleba. Na drugi dzień, gdy się ubierali stwierdzili, iż w nocy ukradli im schowany chleb.

W fabryce będącej filią zakładów "Zeissa" w Jenie wykonywaliśmy elementy do reflektorów przeciwlotniczych. Ja pracowałem przy szlifierce.

W Gablonz poznałem i zaprzyjaźniłem się z więźniami: inż. Gwidonem Maro z Kielc, Rolandem Lenertem z Tych - obydwaj pracowali jako elektrycy i mieli uprawnienia poruszania się po całej fabryce - Zygmuntem Ołubcem z Bilczy k/Kielc /zmarł w końcu kwietnia 1945 r. w Gablonz/, Zbigniewem Mleczo z Krakowa oraz więźniem - nazwiska nie pamiętam - który przyjechał w styczniu 1945 r. z Oświęcimia w grupie 80 więźniów. Gdy pracowaliśmy w fabryce na noc na zmianę, to po przybyciu do bloku zaraz po śniadaniu udawaliśmy się na koniec bloku, między łózkami rozkładał mapę Europy i informował mnie, gdzie znajduje się front wschodni oraz które tereny na froncie zachodnim są zajęte przez wojska alianckie. Wiadomości te niezwłocznie przekazywałem swoim kolegom, bowiem wieści o zbliżającym się końcu wojny poprawiały nastrój więźniów.

W porównaniu do centralnego obozu Gross-Rosen w Gablonz warunki były o wiele lepsze pod względem pracy, bo praca w fabryce była łatwą, nie wymagała wysiłku fizycznego, a nawet interesująca, gdyby tę pracę wykonywało się w warunkach swobody a nie niewolniczych. Przy szlifierce, na której pracowałem, stała mała szafka, w niej były różne narzędzia i przyrządy jak suwmiarka, mikromierz i inne.

Obrabiane przez więźniów wyroby - półfabrykaty były sprawdzane przez majstrów czy zostały wykonane zgodnie z instrukcją. Na odrzucone braki niektórzy patrzyli z przywróconym okiem lub zwracali więźniom uwagę, by starali się wykonywać pracę dobrze. Ale byli majstrowie, którzy za jakiegokolwiek niedociągnięcia stwierdzone w produkcji wołali postów a wraz z nimi zjawiali się kapowie i bili więźniów już na terenie fabryki.

Od połowy stycznia 1945 r. fabryka nie była ogrzewana, w bloku też było zimno, które oprócz głodu i wszy dokuczało więźniom bardzo. Stojąc w fabryce przy maszynie trzeba było nacierać ciało rękami na nogach i ramionach, bo z zimna nie można było stać bez ruchu. Drugi więzień pracował na innej maszynie za moimi plecami. Odstępowaliśmy od maszyn i stykaliśmy się plecami do siebie, by się wzajemnie ogrzać lub ogrzewaliśmy się przytulając do korpusów maszyn, które pracując były ciepłe. Ale gdy w takiej sytuacji spotkał więźnia majstera lub kapo, więzień otrzymywał lanie. Po pracy każdy więzień obowiązany był przeszukać bieliznę i oczyścić ją ze wszy. Jeżeli w czasie kontroli znaleziono w jego bieliznie insekty, kładziono go na ławie, dwóch więźniów trzymało go za głowę i nogi przechylając go tylną częścią ciała do góry, wymierzano mu tyle uderzeń gumowym wężem ile znaleziono u niego wszy.

Również często w nocy zarządzano apele w bloku. Na środek pomieszczenia pędzono zbudzonych ze snu, kapowie i inni pomocnicy uzbrojeni w kije i gumy bili więźniów. Po takiej gonitwie kilku więźniów zostało rannych. Więźniowie najbardziej byli bici przez kucharza Kuchekapo oraz kapów rekrutujących się z



Maj 1978 roku - delegacja byłych więźniów komanda Gablonz za chwilę złoży wieniec na mogile zbiorowej pod pomnikiem. W oddali widać zabudowania fabryczne w których pracowali więźniowie. Na pierwszym planie od lewej Jadwiga Więckiewicz /straciła w obozie brata/, Bernard Laskowski - nauczyciel z Grudziądza, Zofia Salomonowska - wdowa po więźniu, obok stoją: Stanisław Korba i Gwidon Maro z Kielc, na dalszym planie Vaclav Dvorak - sekretarz OV CSPB w Jablonec w rozmowie z Mieczysławem Mołdawą. W głębi Zenon Karpiński, Edward Krentzel, Eligiusz Grodzki i Jan Dudek - wszyscy z Warszawy.

foto archiwum Gross-Rosen 3.1.2.22.

więźniów radzieckich, a wśród nich Gruzin - Janek i Ukraińiec Saszka. Ci dwaj byli postrachem wszystkich więźniów w fabryce i w bloku. Blokowym był więzień narodowości niemieckiej. Chodził elegancko ubrany, spał w pojedynczej sztabie, którą sprząтали mu więźniowie.

Pewnego razu siedząc po pracy w ławkach zauważyliśmy, że blokowy wyszedł ze swego pokoju w ładnej wełnianej podkoszulce i spodniach pasiakach, uszytych z lepszego materiału wyprasowanych w kanty jak szasery, muskuły drgały mu jak mięśnie tygrysa, w ustach trzymał nie dopalonego papierosa. Przechodząc obok ławek rzucił tego papierosa na betonową podłogę. Na leżący niedopałek rzuciło się kilku więźniów. Błyskawicznie wpadł między nich uderzając kilku rękami i nogami. Odeskoczyli na miejsce krzycząc z bólu więźniowie, jeden został na miejscu zabity, gdyż leżąc już otrzymał kopniaka w skroń i w gardło pod dolną szczękę. Był to starszy więzień - uczestnik Powstania Warszawskiego.

W drugiej połowie stycznia 1945 r. przerwano pracę w fabryce i zarządzono alarm na bloku. Wydano każdemu więźniowi po bochenku chleba i zakomunikowano nam, że będziemy pieszo maszerować do obozu koncentracyjnego w Dachau, odległego od Gablonz około 400 km. W warunkach zimowych chyba nikt by nie dotarł do tego obozu. Po kilku godzinach alarm został odwołany. Zabrano więźniom resztki chleba, jeśli któryś z więźniów zatrzymał sobie kromkę chleba na gorszą godzinę. Przez 4 dni nie otrzymywaliśmy przypadających nam porcji chleba.

W lutym i marcu w każdą niedzielę wyprowadzano nas na plac za blokiem i tam wykonywaliśmy biegi i ćwiczenia na śniegu. Po powrocie z takiego "spaceru" dawano nam mrożoną mocno paprykowaną surową sałatę, a później zimne piwo, po spożyciu tej sałaty i piwa wielu więźniów szło na rewir i stamtąd już nie wracali. Zmarłych i zabitych więźniów chowano w papierowych workach we wspólnym grobie, który mieścił się za blokiem.

Na początku kwietnia jeden z radzieckich więźniów zbiegł pracując w grupie poza terenem fabrycznym. Przy pomocy ludności cywilnej schwytano go i po dwóch dniach przywieziono do nas. Przykro było patrzeć jak na naszych oczach znęcano się nad nim, gdy już był mocno zbity zawiązano mu ręce wykręcone do tyłu i za przeguby rąk został powieszony w naszym bloku na linie uczeplonej przy belce. Wisiał całą noc i w nocy skonał. Na betonie była tylko niewielka kałuża krwi, która sączyła mu się z nosa i ust.

W kwietniu 1945 r. w fabryce pracowała tylko jedna zmiana. Ja z innymi więźniami pracowałem w torze kolejowym. Pewnego dnia, a było to pod koniec kwietnia pracowaliśmy obok siebie chyba z Bernardem Laskowickim z Grudziądza, a pilnował nas młody post i powiedział abyśmy się odeuwali od grupy, po tej czynności zapytał, który z nas zna język francuski. Wówczas Bernard powiedział, że nie tak dobrze zna, ale może się porozumieć. Post rozmawiał z nim w języku francuskim. W odpowiednio nadarzającej się chwili Bernard przetłumaczył mi jego wypowiedź. "Już niedługo będziecie się męczyć, lada dzień zostaniecie uwolnieni".

Zdaje mi się, że 5 maja wracając z pracy na torach zauważyliśmy w Gablonz na budynkach, w których mieściły się urzędy, wywieszane flagi przewiązane kirem, a na tablicach do wywieszania plakatów były nalepione ogłoszenia zawiadamiające o śmierci Hitlera i, że dowództwo nad armią niemiecką przejął Dönitz. W bloku siedzieli więźniowie z pierwszej zmiany, którzy tego dnia nie poszli do pracy w fabryce.

Wywożono nas z Gablonz wagonem towarowym kilka kilometrów poza miasto i tam na pewnym odcinku podbijaliśmy kamieniami podkłady kolejowe pod szynami. Pewnego dnia nie przyjechał po nas pociąg towarowy, więc pod wieczór wracaliśmy pieszo niosąc dwóch zmarłych przy pracy więźniów i kilka chorych, którzy nie mogli o własnych siłach iść. Przechodziliśmy przez pewną osadę, gdzie mieszkały i pracowały tam wywiezione polskie kobiety. Gdy nas zobaczyły, zaczęły płakać i mimo rozkazów wydawanych przez esesmanów "Raus-raus" rzuciły nam parę kawałków chleba. Esesmani już nie okazywali swojej agresywności i buty, jaka cechowała ich przed tym.

8 maja rano wydano nam po pół bochenka chleba, jeśli ktoś chciał mógł pobrać z magazynu podręcznego nowe trzewiki i bieliznę. Więźniów, którzy czuli się na siłach maszerować kilkadziesiąt kilometrów, ustawiono w szeregu. Tak zgrupowaną kolumnę więźniów wyprowadzono z bloku pod eskortą esesmanów i prowadzono nas drogą, a później szosą w stronę Tanenwaldu. Początkowo sądziliśmy, że wyprowadzają nas za miasto do lasu by nas rozstrzelać. Na drodze spotykaliśmy wojsko niemieckie i własowców maszerujące i jadące w różnych kierunkach. W lasach słychać było strzały. Koło godziny 13 doprowadzono nas do mostu na rzece przed Tanenwaldem i tam przekazano nas przedstawicielom Czeskiego Czerwonego Krzyża.

W Tanwaldzie Czesi przygotowali dla nas dietetyczne posiłki i nocleg. Nareszcie byliśmy wolni. Z Edkiem Krentzelem ucałowaliśmy się z radości, umyliśmy twarze w strumyku i poszliśmy do stołówki na przygotowany posiłek. Krupnik, chleb z dżemem i kawa była dla nas obiadem i kolacją. Na drugi dzień pomaszerowaliśmy do Żelaznego Brodu. Resztę więźniów z bloku i chorych z rewiru w dniu 9 maja Czesi przywieźli samochodami i umieścili w szpitalu w Żelaznym Brodzie. Czesi otoczyli nas troskliwą opieką. Zawszone pasia-ki i bieliznę obozową zdjęliśmy na placu przy fabryce w Żelaznym Brodzie i tam odzież ta została spalona. Nas zaprowadzono do łaźni, wykąpaliliśmy się i otrzymaliśmy świeżą odzież i bieliznę oraz skórzane obuwie.

W Żelaznym Brodzie byłem około 5 dni. Otrzymałem od władz miejskich przewodni list uprawniający mnie do wolnego przejazdu i wraz z paru kolegami z obozu wyruszyliśmy w drogę do Polski. Oni jechali do Warszawy, ja do Kielc.

Do domu rodzinnego w Micigoździe dotarłem dopiero w końcu maja. W drodze zachorowałem i leżałem w szpitalu na Śląsku - w Rybniku. 12 czerwca 1945 r. zgłosiłem się do Polskiego Czerwonego Krzyża w Kielcach. Tam zostałem zbadany przez lekarza, który stwierdził u mnie zacieki górnych szczytów płuc oraz inne objawy różnych dolegliwości poobozowych. Długi czas byłem na diecie, a nogi puchły mi w kostkach do kolan przez długi czas. Często przyjeżdżał do mnie wójt gminy Piekoszów prosząc mnie bym powrócił do pracy w Urzędzie Gminnym, bo odczuwają brak pracowników. W lipcu przystąpiłem do pracy w Zarządzie Gminy Piekoszów i od tej pory pracowałem bez przerwy aż do września 1978 r.

Nr archiwum Gross-Rosen 3.1.3.8.



Młody więzień Polak otrzymał
pierwszy posiłek na wolności

Nr archiwum Gross-Rosen 3.1.1.46.